

kać żelaznym młotem i kiedy na to pukanie odpowiedziało głuche echo, dał znak z radością towarzyszącemu by mu przyszedł w pomoc.

Były to ukryte drzwi, pomalowane jednakowo ze ścianą i ukrywające obszerną nyżę.

Kilka uderzeń siekiery wywaliły drzwi.

— Tu jest, tu jest — wrzeszczeli stojący bliżej, gdy tymczasem reszta z krwiożerczą chciwością podnosiła się, aby ujrzyć ofiarę.

Tam leżała ta jasna blondynka, blada z zamkniętymi oczyma.

Krewna jej prowadząc resztę rodziny, jakby wiedząca przeczuciem schowała ją w tę kryjówkę, która nawet służbie nie była znana.

Tam leżała bez przytomności, w ściśniętej słabej ręce błyszczał ostry nóż, a kiedy bezsilna dłoń odmówiła przysługi opuściły ją zmysły.

— Ah — wrzasnęli Wołosi — a na ich twarzy obok krwiożerczości malowała się jakaś jeszcze myśl więcej piekielna.

— To wspólna zdobycz! — wrzasnęło kilku naraz.

— Piękna panna, pańskie dziecko, ha, ha, ha! — zaśmiało się kilku, to właśnie dla obdartych Wołochów i brudnymi zakrwawionymi rękami, chwycili delikatną dziewczynę za ramię.

— Co to takiego? — zagrmiał w tej chwili piorunujący męski głos. Rumuni spojrzeli w tył. Między nimi stał mężczyzna o rzymskich rysach, od nich o głowę siuszniejszy, z miedzianym hełmem, na którym widać było ślad silnego cięcia, w lewej ręce trzymał krótki miecz.

— Trybun — mruknęli, ustępując mu z drogi.

— Co tu się dzieje? — zapytał, a zobaczywszy zemdlałą dziewczynę w ręku jednego Wołocha kazał mu położyć ją na ziemię.

— To także nieprzyjaciół, odparł ten krnąbrnie.

— Milcz nędzniku, myślisz, że naród rumuński powinien kobiety uważać za swych nieprzyjaciół? Połóż na ziemi!

— Nie tak trybunie — przerwał krnąbrnie Lupuj — znasz nasze prawa, które nam zapewniają łup wspólny. Ta dziewczyna jest naszą zdobyczą. Po zwycięstwie będzie wspólnym łupem...

— Znam prawa lepiej od ciebie drabie. Wspólny podział ze zdobyczy, ale tam, gdzie rzeczy podzielić nie można, tam los rozstrzyga.

— Dobrze trybunie, naturalnie, że nie można podzielić konia lub wołu i tam musi rozstrzygać szczęście, ale dziewczyną mogą się podzielić wszyscy...

— Powiedziałem, że nie można i chciałbym widzieć tego, kto twierdzi przeciwnie.

Lupuj znał trybuna i nie odezwał się więcej, reszta odsunęła się od dziewczyny. Tylko jeden ze zgrai krzyknął, że „można”.

— Kto to mówi, niech wystąpi.

Wystąpił młody i trochę podpity Wołoch z zaplecionymi w kosy włosami i stanął z głupkowatym przed trybunem uśmiechem. Bijąc się w piersi rzekł: „Ja mówię”!

Ledwie wymówił ostatnie słowo, kiedy trybun podniósł nagle lewą rękę i jednym cięciem odciął głowę protestującego tak, że ta padła w tył, a tułów upadłszy na kolana obydwoma rękami objął nogę trybuna.

— Twierdzi kto jeszcze, że można? — zapytał olbrzym groźnie.

Rumuni odsunęli się chłodno.

— Zaprzadź konie do powozu, wsadzić dziewczynę i powieźć ją do Topanfalwa. Komukolwiek przypadnie ona w udziale ma prawo żądać, aby ją taką odebrał, jaką ją waszej powierzam opiece. Kogoby zebrała ochota obrazić ją jednym tylko spojrzeniem, uśmiechnąć się do niej, lub o niej wspominać, niech przypomni sobie tego i ma przykład — rzekł trybun i kopnął nogą leżącego przed nim trupa, dając do rozejścia się znak mieczem.

— Idźcie teraz plądrować, niszczyć, rabować.

Tłum rozbiegł się, a trybun kazał dziewczynę

do powozu wsadzić i powierzając ją opiece kilku poddanych rodziny, kazał ruszyć ku góróm.

Za pół godziny stał pałac w płomieniach, ogień buchał oknami, powlekając mury czarną barwą. Kiedy już się paliło wszystko, wpadli do piwnicy, porozbijali becyki i pływali wśród morza wina i wódki, wśród dzikiego śpiewu a nad nimi palił się dach cały.

A potem obciążeni zdobyczą poszli dalej, pozostawiając umarłych i dobijając konających.

\* \* \*

Omdlałą dziewczynę zawieziono do mieszkania trybuna. Nikt nie ośmielił się jej obrazić, ale każdemu zdawało się, że ma do niej prawo, uważali, żeby im jej nie wydarto, czekali przed domem trybuna i wtoczyli się z nim razem, napelniając się i pokój.

Poskładano przed nim zdobycz, którą mieli podzielić na równe części.

Dowódca podzielił ją na równo i rozdał pomiędzy zgraję.

Jedynie jemu należała się dziesięcina, resztę podzielono jednakowo.

Po podziale poszło kilkunastu do domu, ale większa część została na miejscu, rzucając chciwe spojrzenia na ostatnią zdobycz.

Na pościelonem niedźwiedzią skórą łożu leżała dziewczyna blada, nieruchoma, ledwie żywa.

— Zostaliście tutaj, aby rzucić los komu przypadnie ta dziewczyna? — zapytał Numa wałęsających się.

— Nie inaczej — odpowiedział Lupuj uśmiechając się beczelnie. — Będziemy grać w kosiki, kto najwięcej wyrzuci dostanie dziewczynę. Jeżeli wyrzuci dwóch, dziesięciu, dwudziestu zarówno, będą ją mieli wszyscy.

— Tylko jeden może ją posiadać! — przerwał Numa sucho.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

## Bella Donna

Tematycznie z angielskiego Marji Starzewskiej.

TOM II

Pomimo gorączkowego podniecenia uczuła jakby dotknięcie czegoś zimnego... zimnego, jak strach jest zimnym.

— Yes — rzekł.

— Chcę się widzieć z Mahmud Barondim.

Nie ruszył się. Nie zmienił wyrazu. Nubijczycy zgromadzeni w koło na pokładzie patrzeli na nią spokojnie, tak prawie, jak zwierzęta spoglądają na coś, co często widziały.

— Gdzie on jest? — zapytała — gdzie jest?

I nie czekając na odpowiedź przeszła pod złotymi literami do pierwszego salonu. Światła się paliły, lecz nie było w nim nikogo. Przebiegła przez korytarz, odsunęła pomarańczowej barwy kotarę i weszła do pokoju z fontanną.

Na otomanie w narodowym stroju z turbanem i dżelabich, Barondi siedział z podłożonymi pod siebie nogami, paląc haszysz i patrząc na złoconą kulę, która się wzbijała w górę i opadała w wodę. Opodał od niego na poduszkach oparta, leżała wschodnia młoda dziewczyna. Twarz miała malowaną oczy podkrążone kohlmem, paznogi u rąk i nóg zabarwione henną. Była owinięta w barwne naszywane świecidełkami gazy. Na ramionach miała dużą ilość wąskich bransoletek. Ona także paliła małą fajkę z koralowym usznikiem.

Mrs. Armine stanęła cicho u drzwi. Patrzała na dziewczynę i w tem pomyślała o swoim własnym wyglądzie z uczuciem prawie zgrozy.

— Barondi! — rzekła — Barondi!

Trzymał ciągle w ręku diugi cybuch fajki, lecz przestał palić.

Rozpacz nagle ją ogarnęła, wyszła na środek salonu.

— Odpraw ją! — zawołała — odpraw ją!

— Mówiła po francusku. Odpowiedział w tym samym języku.

— Dlaczego?

— Porzuciłam willę. Nie będę mogła już wrócić.

— Dlaczego nie? — zapytał nie spuszczać oczu z jej twarzy.

Przechylił głowę w tył, odkrywając wspa-

niałą swą szyję, która się wynurzała z faldów muślinu, spływających na jego potężną pierś.

— On wiel

— Wiel Kto mu powiedział?

— Ja!

Spojrzał na nią, a jej uczyniło się zimno, jakby ją zanurzono do lodowatej wody.

— Pani mu powiedziała o mnie?

— Nie wszystko. Lecz on wie, że... że spowodowałam jego chorobę, że chciałam, żeby umarł. Powiedziałam mu, gdyż chciałam, żeby mnie puścił. Musiałam go porzucić... i jestem tutaj...

Bransolety wschodniej dziewczyny zadzwoniły, kiedy się poruszyła za Mrs. Armine.

— Odpraw ją! odpraw! — powtórzyła.

— Hanza! — zawołał Barondi nie podnosząc głosu.

Hanza stanął we drzwiach.

Barondi zaczął do niego spieszenie mówić po arabsku. Co mówił? Mrs. Armine nie wiedziała. Wiedziała tylko, że jej przeznaczenie w tych słowach zawarte.

Hanza, milcząc, uczynił tylko znak, żeby za nim poszła.

Lecz ona wciąż stała.

— Barondi? — rzekła.

— Proszę iść za Hanza — rzekł po francusku.

Hanza dał jej znowu znak, żeby szła przed nim. Zwolna przeszła przez korytarz do pierwszego salonu. Zawahała się, spojrzała za siebie. Hanza skinął, żeby szła dalej. Przeszła pod arabskim napisem... po raz ostatni. Na pokładzie żeglarzy zatrzymała się.

Feluka Lonlii stała obok. Hanza wziął ją za ramię. Pomimo, że jego ręka była mała i delikatna, wydała jej się żelazna. Wsiąpiła w czołno. Dokąd ją zawiozą? Przyszło jej na myśl, że może Barondi ma jakiś plan, że nie chce zastrzymać jej na Lonlii, że posiada dom w Luk-sorze, albo...

Willi Nuf d'Or! Czy Hanza ją tam zawiezie tej nocy?

Hanza usiadł, wziął wiosło i odbił.

— Tak płynął w górę rzeki przeciw wodzie! Gwałtowna nadzieja w nią wstąpiła. Lonlii malała. Hanza wciąż wiosłował przeciw prądowi, lecz zauważyła, że kieruje felukę na środek Nilu. Prąd był silny. Płynęli powoli. Miała ochotę chwycić wiosło i przyspieszyć bieg czołna w górę rzeki. Wschodni brzeg zaczął się wynurzać z ciemności. Zdawało się zbliżać coraz więcej. Zobaczyła światła w willi Androna.

— Hanza! — szeptała — Hanza!

Wiosłował zwolna, prawie leniwie. Nigdy nie przemogą prądu, jeżeli nie będzie wiosłował z większą siłą. Czemu nie było z nimi dwóch Nubijczyków! Światła willi znikły zakryte wysokim brzegiem.

— Hanza! — zawołała — Hanza!

Dało się uczuć lekkie wstrząśnienie. Feluka dobiła brzegu. Hanza spokojnie wyszedł z czołna i dał jej znak, żeby wysiadła.

Jak tylko stanęła na piasku, Hanza odepchnął Felukę, wskoczył w nią i skierował na ciemną wodę.

— Hanza! — zawołała.

— Hanza! Hanza! — krzyczała.

Czołno płynęło szybko i znikło.

\* \* \*

W jaką godzinę później ukazała się w ogrodzie willi Androna kobieta, która szła nierównym wolnym krokiem. Przeszła przez ogród i zbliżyła się do tarasu, na który przez wysokie okno salonu padało światło. Zatrzymała się i zajrzała do pokoju.

Zobaczyła skulonego na sofie Nigla z łokciami na kolanach i z twarzą ukrytą w dłoniach. Był sam. Stała chwilę patrząc na niego. Poczem jakby się namyśliwszy weszła zwolna na taras.

W tej samej chwili drzwi salonu się otworzyły i wszedł zdyszany Ibrahim, a za nim ukazał się Meyer Isaacson.

Kobieta stała cicho.

Ibrahim został przy drzwiach. Nigel się nie ruszył. Meyer Isaacson wszedł prędko, kierując się w stronę Nigla, lecz kiedy się znalazł w środku pokoju drgnął, zatrzymał się nagle, spojrzał w okno i podszedł do drzwi prowadzących na taras. Na progu znowu się zatrzymał. Spojrzał na kobietę. Przez chwilę patrzył na nią, a ona na niego. Wyciągnął rękę, odczepił śpiesznie okiennice, przymocowane do zewnętrznej ściany i przyciągnął je do siebie.

Zamknęły się z lekkim trzaskiem zakrywając pokój przed oczami kobiety.

Nie czekała więcej. Poszła drogą do bramy ogrodu, weszła na zapuszczoną ścieżkę i znikła w ciemności idąc na oślep ku odległym wzgórzom zamykającym pustynię Arabską.

K O Ń I E C.